



*Krzysztof Błazejewski*

## Z Hiumy na Saareme... po lodzie

Zamarznięty Bałtyk to nic nowego, także w czasach historycznych, od kiedy ludy nad nim zamieszkujące poznały sztukę piśmiennictwa. Najstarszy zanotowany w kronikach opis drogi lodowej pochodzi z okresu schyłkowego średniowiecza. Wówczas zapisano, iż w 1323 roku doszło do udanej podróży po zamarzniętym morzu między estońską wyspą Saaremaa a niemieckim portem Lubeką.

W czasie tzw. małej epoki lodowcowej (szczególnie surowych warunków klimatycznych), czyli w wiekach XVI i XVII mroźne zimy sprawiły, że po tym akwenu można było swobodnie nawet na duże odległości poruszać się saniami. Do historii przeszły wzmianki o szesnastowiecznych karczmach czy innych miejscach postoju na zamarzniętym pełnym morzu, które pojawiły się na mapie Carta Marina z 1539 r. Jedno z takich miejsc miało istnieć na północ od dzisiejszego Władysławowa na szlaku prowadzącym po lodzie do Szwecji. W kronikach opisano również przemarsz wojsk szwedzkich dowodzonych przez króla Karola X Gustawa z Jutlandii przez zamarzniętą cieśninę Mały Bełt na wyspę Fionia, który miał miejsce w 1658 roku. Wojska szwedzkie zaskoczyły tym manewrem i pokonały Duńczyków.

Najczęściej Bałtyk pokryty był lodem w północnych i wschodnich swoich zatokach,

szczególnie tam, gdzie akwen jest płytki, np. w okolicach estońskich wysp Hiuma i Saaremaa. Całkowite zamarznięcie morza należało do unikatowych przypadków.

Obecnie, w XXI stuleciu, niski poziom wody w Bałtyku sprzyjać będzie takim sytuacjom, szczególnie w okresie długotrwałych mroźnych wiatrów nadciągających z północy, tak jak wydarzyło się to minionej zimy.

W Estonii od wielu lat wytyczanie dróg między wysuniętymi przylądkami, stałym lądem i wyspami należy do tradycji i jest traktowane jako coś naturalnego. W sprzyjających okresach szczególnie mroźnych zim bywało, że wytyczano nawet kilkadziesiąt kilometrów szlaków na wodach przybrzeżnych oraz między wyspami na Bałtyku, które przy sprzyjających warunkach mogły służyć jako drogi lodowe dla transportu tak osób jak i towarów. Przy pokrywie lodowej nie jest jednak możliwe kontynuowanie połączeń promowych, które stanowią tam jedyną możliwość przemieszczania się między lądem i wyspami.

Zasadą obecnie stosowaną jest, że tego rodzaju przeprawy dla samochodów są oficjalnie ogłaszane i otwierane, gdy lód ma około 20-25 centymetrów grubości. Nie ma tu jednak mowy o działaniu „na żywioł”. Trasa taka zwykle jest wielokrotnie sprawdzana, kontrolowana i... oznaczana znakami

drogowymi. W przypadku stałych temperatur zamarzania lód można pogrubzić, wierząc otwory w lodzie i pompując wodę na lód.

Oficjalne drogi lodowe w przeszłości powstawały m.in. między Hiumą a lądem (typowa trasa łączy miejscowości Sarve i Rohuküla i mierzy 25 km), między Hiumą i Saareme (łącząc miejscowości Tärkma na Hiumie i Jõiste na Saaremie, długości około 15 km), pomiędzy wyspą Muhu a lądem (Kuivastu – Virtsu, ok. 10 km), wyspą Vormsi a lądem (Sviby – Rohuküla, ok. 12 km), wyspą Kihnu a lądem (ok. 15 km), wyspą Manilaid i lądem (1 – 2 km, a także między miastem Haapsalu a gminą Noarootsi przez zatokę (3 km). W latach 2010 i 2011 lodowe drogi wytyczano także na jeziorze Pejpus od Laaksaare do Piirissaare.

Minionej zimy Ministerstwo Transportu Estonii wytyczyło w pierwszej połowie lutego 2026 roku na morzu pierwszą w tym roku (i jedyną) oficjalną drogę lodową, łączącą wyspy Hiuma i Saaremaa, a dokładnie miejscowości Tärkma (na Hiumie) i Triigi. Korzystanie z niej było możliwe dla pojazdów o masie do 2,5 tony. Był to efekt nacisku społecznego mieszkańców tych terenów i pojawiania się wcześniej kilku nieoficjalnych dróg przez taflę Bałtyku. Droga ta była otwarta przez 13 dni.

Trasa ta, uruchomiona w niedzielę, 8 lutego o godz. 9

rano, miała długość 17 kilometrów i była oznaczona znakami drogowymi oraz gałązkami jałowca (na poboczach), które zwykle znajdowały się na lodzie w odstępach około 50–100 metrów. Użyto jałowca, ponieważ drzewa liściaste są zimą gołe i nie wyróżniają się tak dobrze, a ścięcie sosny czy świerku z uwagi na ochronę przyrody nie wchodzi w Estonii w grę. Szczeliny w lodzie i inne niebezpieczne miejsca zwykle oznaczone są dwoma lub więcej gałązkami. W razie potrzeby na większych szczelinach budowano kładki.

Ważną zasadą są w czasie jazdy... niezapięte pasy bezpieczeństwa na wypadek, gdyby lód pękł i trzeba byłoby szybko wydostać się z auta. Znaki wskazywały też w określonych miejscach poziom zalecanej prędkości wynoszącej albo 10 - 25 lub 40 - 70 kilometrów na godzinę, bowiem, jak obliczono, taka właśnie szybkość poruszania się po pokrywie lodowej jest najbezpieczniejsza. Prędkość w granicach 25 – 40 oraz powyżej 70 km powoduje, według specjalistów glaciologów – rezonans powodujący pęknięcie pokrywy lodowej. Dlatego ważną zasadą w takiej sytuacji jest poruszanie się z jednostajną prędkością. Droga była otwarta tylko w świetle dnia w godz. 8.30 do 17.

Inne przepisy ruchu stosowane w tym przypadku: przejazd na lodowej drodze odbywa się tylko w ciągu dnia, gdy

widoczność wynosi co najmniej 300 m. Wjazd jest dozwolony tylko z wyznaczonego miejsca. Zjeżdżanie w bok i wyjeżdżanie poza wytyczoną trasę jest zabronione. Droga lodowa jest jednokierunkowa. Wyprzedzanie jest zabronione. Odległość między pojazdami nie może być mniejsza niż 250 metrów. Zatrzymanie się na lodowej drodze jest dozwolone tylko w wyjątkowych sytuacjach.

Jak oficjalnie poinformowano, w tym roku, mimo wyjątkowo sprzyjających warunków atmosferycznych – Estończycy uruchomili tylko tę jedną lodową przeprawę, a stało się tak z powodu braku środków w budżecie na uruchomienie kolejnych dróg. Ta akurat była najbardziej potrzebna mieszkańcom estońskich wysp. Już pierwszego dnia po otwarciu drogi, z przeprawy skorzystało po kilkadziesiąt samochodów w każdym kierunku. Otwarcie i wykorzystanie drogi między Hiiumaa a Saaremaa było relacjonowane przez wiele globalnych agencji i krajowych mediów. Historia ta dotarła do odbiorców głównych publikacji, kanałów telewizyjnych i wideo za pośrednictwem agencji Associated Press i Reuters. Między innymi Guardian, Euronews, ABC News, The Weather Channel, Der Spiegel, Stern i Die Welt publikowały relacje o drodze przez estońskie morze. Wzmianki o relacjach pojawiły się także w krajach arabskich, a wiadomości na ten temat były udostępniane w niezliczonych postach w mediach społecznościowych.

Dodatkowo w mroźnym lutym 2026 roku mieszkańcy estońskiej wyspy Vormsi, położonej stosunkowo blisko lądu (około 30 km od miasta Haapsalu), zdecydowali się samodzielnie wytyczyć i przygotować przeprawę lodową dla pojazdów. Przejazd taką drogą odbywał się jednak na własne ryzyko.

Pozostałe, znane od lat estońskie przybrzeżne przeprawy np. droga lodowa na wyspę Kihnu albo też inną wyspę Vormsi, nie doczekały się w tym roku otwarcia mimo zapowiedzi ministerialnych z początku lutego, iż po kilku latach przerwy pojawiła się okazja do otwarcia nawet trzech dróg lodowych. Prawdopodobnie stało się tak z powodu braku środków.

*Barbara Pastuszewska*

## Obywatelka Inflant

Jako wstęp do wspomnienia o mojej Mamie niech posłużą fragmenty rozważania ks. Adama Bonieckiego na Dzień Zaduszny: „Nie za wiele myślimy o przodkach... Ale oni jednak byli, przekazali jakiś rodzinny etos, jakieś obyczaje. Nie zdajemy sobie sprawy z dziedzictwa, które często zanika pod naciskiem świata, w którym żyjemy...” i dalej: „Pamięć zachowuje strzępy wspomnień...” (Tygodnik Powszechny, nr 44, 2025 r.). I właśnie tutaj chcę poskładać strzępy moich wspomnień o Mamie, o czasach i świecie, w którym żyła, a także o ludziach, których spotykała na swojej drodze...

Życie mojej Mamy, Stanisławy Zwierkowej, z domu Wiścickiej, to kawał historii, obejmującej dzieciństwo na Inflantach, młodość, małżeństwo i stabilizację życiową w okresie międzywojennym w Wilnie, okupację bolszewicką i niemiecką spędzoną na wsi pod Wilnem, repatriację do Polski i powojenny okres aktywności w Bydgoszczy.

Mama urodziła się w pierwszych latach XX wieku jako jedna z jedenaściorga dzieci Marii i Stanisława Wiścickiego, właściciela niewielkiego majątku Wygoda na Inflantach. Dziadek był postacią bardzo szanowaną przez społeczność polską na Inflantach, a dla dzieci był wzorem patriotyzmu, postawy obywatelskiej i gościnności. Warunki życiowe w Wygodzie nie rozpieszczały, majątek był zadłużony, a dochody niewielkie. Dodatkowym ciosem dla rodziny była przedwczesna śmierć matki, po której opiekę nad domem i rodziną przejęła najstarsza z sióstr. Dzieci wychowywały się w poczuciu silnej więzi rodzinnej, były wdrażane do pomocy w domu i w gospodarstwie, miały przy tym dużo swobody, dzięki czemu ich dzieciństwo było z całą pewnością dzieciństwem szczęśliwym. A wyniesione z domu wartości – patriotyzm, pracowitość, zaradność – był to kapitał, który w dalszym życiu Mamy okazał się prawdziwym skarbem.

Dzięki hojności swojej ciotki Mama odebrała staranne wychowanie na pensji dla dobrze urodzonych pańien w Petersburgu. Wyniosła stamtąd dobrą znajomość rosyjskiego i niezłą francuskiego. Z tego

okresu pochodzi anegdota o wykorzystywaniu kaloszy księdza katechety do wymiany korespondencji między panienkami z pensji a chłopcami ze szkoły męskiej, w której uczył ten sam ksiądz. Było to możliwe dzięki temu, że w owym czasie w zimie panowie nosili płaskie kalosze, nakładane na skórzane trzewiki, żeby chronić je przed śniegiem. Po wejściu do domu kalosze zdejmowano i zostawiano w przedpokoju, łatwo więc było włożyć do nich karteczkę z korespondencją i wykorzystać jako skrzynkę kontaktową. Pomysłowe.

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w 1918 r. rodzzeństwo Wiścickich opuszczało Wygodę, a jednym z pierwszych był najstarszy brat Mamy, Jan, który osiedlił się w Wilnie i po skończeniu studiów prawniczych na Uniwersytecie Stefana Batorego zaprosił do siebie moją Mamę. Przez Jana Mama poznała i wyszła za mąż za jego przyjaciela, również studenta prawa, mojego Tatę. Pierwsze lata małżeństwa nie były łatwe i rodzice żyli bardzo skromnie, ale gdy Tato zaczął pracować w wileńskiej delegaturze Prokuraturii (nie mylić z prokuraturą!) Generalnej warunki się poprawiały i w latach 30. były już bardzo dobre.

Mama była piękną, elegancką panią, ale mimo że była ją na to stać, nigdy nie nosiła futer i nie miała drogiej biżuterii. Za to z wielkim staraniem i smakiem urządzała nasze mieszkanie. Komplet mebli w salonie, wykonany w stylu art-deco, uratował się jako podczas przeprowadzek w czasie wojny i przed naszym wyjazdem z Wilna do Polski w 1945 r. został sprzedany wysokiej rangi oficerowi Armii Czerwonej, który kupił je do swego mieszkania w Moskwie. Dzięki tej transakcji mogliśmy lepiej przygotować się do długiej i ciężkiej drogi.

W Wilnie mieszkaliśmy przy głównej ulicy, ulicy Mickiewicza, tuż przy placu Łukiskim. Niedaleko miała mieszkanie Hanka Ordonówna, a wiedza moja o tym pochodziła stąd, że na spacerze spotykaliśmy służącego, wyprowadzającego jej dwa ogromne psy bernardyny. Mieszkaliśmy w eleganckiej kamienicy, do której z ulicy wchodziło się do mieszkania szeroką klatką schodową z marmurowy-

mi schodami, a od podwórka klatką tzw. kuchenną, którą bezpośrednio do kuchni wnoszono opał, zakupy i wynosiło śmieci. Piszę o tym, bo było to kiedyś praktyczne rozwiązanie, o którym chyba już nikt nie pamięta. Układ mieszkania był dość skomplikowany, ale był w nim także mały pokój dla gospoisi, nazywanej w owych czasach po prostu służącą. Ostatnią naszą gosposią była Mela, wesoła, inteligentna dziewczyna, która po wybuchu wojny wróciła do swojego domu.

Lata 30. były najlepszym okresem w życiu rodziców, prowadzili szerokie życie towarzyskie, a ich przyjaciółmi były osoby należące do elity prawników i inteligencji wileńskiej, zaangażowanej w życie społeczne Wilna. Ich wysokiej próby patriotyzm potwierdziły postawy i losy wojenne i powojenne.

Do grona najbliższych należeli Konstanty – mój chrzestny ojciec – i Eugenia Szabelscy – oboje prawnicy. Konstanty jako licealista przed 1918 r. należał do tajnej organizacji wojskowej, brał udział w akcjach wojennych. Po pierwszej wojnie światowej skończył studia i oboje z żoną pracowali w Wilnie. We wrześniu 1939 r. zagrożeni przez inwazję radziecką, państwo Szabelscy wyjechali na Litwę, a stamtąd do Francji. Tam Konstanty walczył z Niemcami i dostał się do niewoli, z której wyszedł w 1941 r. Po wojnie działał w Misji Wojskowej w Paryżu, a za swoją działalność został odznaczony przez Rząd w Londynie Złotym Krzyżem Zasługi. W kolejnych latach wykładał historię w liceum polskim pod Paryżem i pracował społecznie na rzecz polskich kombatanów we Francji. Zmarł w 1986 r. w drodze do Polski. Eugenia Szabelska pracowała w Paryżu jako prawniczka, pomagając Polakom w kontaktach z władzami francuskimi. Przyjeżdżała często do Polski i do końca życia utrzymywała serdeczne kontakty z moją Mamą, a także ze mną.

Bliskie relacje łączyły rodziców z małżeństwem Haliny i Wiktora Sukiennickich. Byli to wybitni prawnicy, intelektualisci i działacze społeczni. W czasie studiów na Uniwersytecie Stefana Batorego aktywnie występowali przeciw gettu ławkowemu i innym ekscesom antysemickim. Po ukończeniu studiów uzyskali

doktoraty z nauk politycznych i ekonomicznych na Sorbonie. Halina wojnę przeżyła w Wilnie, a po repatriacji do Polski udało jej się wyjechać do męża do Londynu. Później ich drogi rozeszły się. Odwiedziliśmy ją w czasie naszego (mojego z mężem) pobytu w Londynie w późnych latach 60., przyjęła nas gościnnie, poczęstowała grejpfrutem, a następnie omlętem, ale odniosłam wrażenie, że byliśmy dla niej osobami z innego, obcego jej świata.

Inaczej potoczyły się losy Wiktora Sukiennickiego. W okresie międzywojennym jego działalność naukowa dotyczyła głównie sytuacji w Związku Radzieckim, dzięki czemu już wtedy był uznanym sowietologiem. W 1940 r. został aresztowany przez NKWD, zesłany w głąb Rosji, skąd dostał się na Zachód z armią Andersa. Od 1943 r. mieszkał w Londynie, był publicystą i laureatem paryskiej „Kultury”, publikował prace z zakresu historii krajów Europy Środkowej i Wschodniej. W 1959 r. przeniósł się do Stanów Zjednoczonych, gdzie pracował w Instytucie Hoovera. Miłosz w swoich wspomnieniach o Wiktorze Sukiennickim pisze, że „był to człowiek dość trudny, choć zawsze prawy, bardzo krytyczny i sarkastyczny, i pewnie mało szczęśliwy”.

W dzieciństwie moje kontakty z rodziną państwa Sukienickich nie były zbyt przyjemne, ponieważ ich syn, Bohdan, chłopaczko trochę starsze ode mnie i bardzo rozpuszczone, dokuczał mi przy każdej okazji. Po wojnie został profesorem uniwersytetu Stanforda w Stanach Zjednoczonych.

Przyjacielskie stosunki łączyły rodziców z Konstantym Cierpińskim, współpracownikiem Ojca w Prokuraturii Generalnej, oraz bardziej oficjalne z prezesem Prokuraturii i szefem Taty – Mieczysławem Obiezińskim. Prezes Obieziński został aresztowany przez NKWD zaraz po wejściu Armii Czerwonej do Wilna we wrześniu 1939 r. i nie przeżył zesłania na Syberię. Z jego rodziną – żoną Stefanią i córkami Heleną i Anną – los ponownie zetknął rodziców po wojnie w Bydgoszczy, a kontakty polegały przede wszystkim na wzajemnych wizytach i rewizytach z okazji imienin. Panie Helena i Anna były szanowanymi nauczycielkami w szkołach bydgoskich. (Dzieje swoje i rodziny, w tym wiele wspomnień o swoich perypetiach w szkołach bydgoskich w czasach PRL-u, opisała Helena Obiezińska w

obszernym pamiętniku *Jedno życie prywatne na tle życia narodu polskiego w wieku XX*).

Wracam do Wilna i czasów przedwojennych. Lista osób, z którymi rodzice utrzymywali kontakty towarzyskie, była oczywiście znacznie dłuższa. Spotykano się w kawiarniach, restauracjach i na przyjęciach w domach. Tutaj przypomniał mi się pewien szczególnie zwyczaj – rytuał – towarzyski. Otóż w Nowy Rok panowie ubierali się uroczysto i wczesnym popołudniem wyruszali z domu, żeby złożyć krótkie, kurtuazyjne wizyty u osób, z którymi utrzymywali bliższe lub bardziej oficjalne relacje. Wizyty te przyjmowały panie, również elegancko ubrane, chyba bez żadnych poczęstunków. Musiało to być potężne przedsięwzięcie logistyczne, bo przecież nikt nie miał wtedy w Wilnie samochodu, nie było jeszcze taksówek, pozostawały do dyspozycji tylko dorożki. Biorąc pod uwagę, że na początku stycznia zima była już bardzo mroźna to taki rajd mógł być sporym ryzykiem dla zdrowia, na szczęście Wilno nie było zbyt rozległe i trasy niezbyt długie.

Mama miała opinię bardzo dobrej pani domu i przyjęcia z okazji jej imienin lub imienin Taty cieszyły się zawsze dużym uznaniem. Wiąże się z tym piękna historia, której bohaterem pozytywnym jest głuszec, a czarnym bohaterem – moja Mama. Otóż gdzieś w okolicy Mamy imienin, przypadających na 8 maja, przyszła do niej paczka od brata Teodora, pracującego jako leśniczy na kresach Wileńszczyzny. W paczce był ogromny głuszec. Mama potraktowała go jako prezent imieninowy, ciesząc się, że będzie mogła podać na przyjęciu imieninowym tak kwintne danie, za jakie uważano wówczas tego ptaka. Następnego dnia po oskubaniu i wypatroszeniu głuszca przyszedł list od Teodora mniej więcej tej treści: „Staszko, udało mi się upolować wspaniałego głuszca, jest to okaz mający wielkie szanse, żeby zdobyć nagrodę na Krajowej Wystawie Łowieckiej. Bardzo Cię proszę, daj go do wypchania do najlepszego fachowca, będzie to wyjątkowy eksponat”. O tym, jak przebiegło wyjaśnianie rozbieżności w potraktowaniu głuszca – historia milczy. Okazało się natomiast, że głuszec był rzeczywiście przeznaczony do celów wyższych niż kulinarne, bo mimo wysiłków Mamy nie udało się go wystarczająco skruszyć i podać na stół.

Mama była osobą bardzo rodzinną i w miarę swoich moż-

liwości starała się rodzeństwu pomagać. W Wilnie przez jakiś czas mieszkała u nas młodsza siostra Mamy, Helena, zaczynająca studia prawnicze na Uniwersytecie Stefana Batorego, a później Janeczka, studentka medycyny. Sprawdzała się wyniesiona z domu rodzinnego zasada solidarności i wzajemnej pomocy.

Prowadzenie domu i życie towarzyskie nie były jedynym polem aktywności Mamy. Angażowała się w działalność Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet, organizacji, której celem było niesienie pomocy i elementarnej oświaty ludności na biednej i zacofernej wsi na Wileńszczyźnie. Nie zachowały się, niestety, zdjęcia z tych wyjazdów.

Ważnym epizodem w życiu Mamy był wyjazd do Rumunii, nad Morze Czarne, w celach zdrowotnych. Bardzo modne były wówczas błotne kąpiele w limanach na brzegu morza. Mama wybrała się tam ze swoją przyjaciółką. Wyprawa z Wilna na drugi koniec Europy nie była w owych czasach łatwym przedsięwzięciem – jechało się bardzo długo pociągami, w których nie było wagonów sypialnych, a jedynie przedziały pierwszej klasy, z całą pewnością nieklimatyzowane. Mama opowiadała o zabawnym zdarzeniu, kiedy jadąc już na terenie Rumunii, bardzo zmęczone i będące jedynymi pasażerkami w przedziale pierwszej klasy, panie wyciągnęły się na siedzeniach. Kontrolujący bilety konduktor zwrócił im (po rosyjsku) uwagę, żeby spuściły nogi, bo nie wolno kłaść nóg na siedzenie. Na tłumaczenie Mamy, że to nikomu nie przeszkadza, ich nogi są czyste i w pończochach, konduktor był stanowczy argumentując, że „nagi wsiegda waniajnt” – „nogi zawsze śmierdzą”. Wyjątków nie uznał.

Mama wspominała kilkutygodniowy pobyt w Rumunii bardzo dobrze, panie mieszkały w pensjonacie, a kontakty towarzyskie ułatwiała Mamie znajomość języka francuskiego, która w tamtych czasach w Rumunii była wśród inteligencji powszechna. Przyjaźnię zawarte podczas tego pobytu przetrwały próbę czasu i Mama jeszcze w latach 70., kiedy Rumunia była już odcięta od świata zachodniego, przesyłała znajomym książki francuskie, które kupowała na pchlich targach w czasie mego pobytu we Francji.

Na kilka lat przed wybuchem wojny Mama z bratem Janem zdecydowali się spróbować swoich sił jako – dzisiaj

powieźlibyśmy – deweloperzy w branży turystycznej – i zbudować pensjonat na pojezierzu brasławskim, w najdalej położonym na północny wschód zakątku Polski. O wyborze tego miejsca zdecydowało nie tylko piękno jezior, ale także chęć ożywienia tych terenów przez zatrudnienie rzemieślników, obsługi pensjonatu i kupowanie lokalnych produktów rolnych. Została zbudowana duża, drewniana willa, położona na wysokiej skarpcie nad brzegiem jeziora Strusto, urządzona przez Mamę z wielkim smakiem. Do Mamy należało przyuczenie miejscowych dziewcząt do pracy jako pokojówki, zaopatrzenie (możliwe na targu albo u miejscowych gospodarzy), organizacja pracy kuchni i prowadzenie całego pensjonatu, a więc zadania wymagające dużej sprawności organizacyjnej. Otwarcie przypadło na lato 1939 r., przyjechali goście nie tylko z Wilna, ale także znajomi z Warszawy, humory były świetne, pogoda wspaniała. Ten pierwszy, udany sezon okazał się ostatnim. Wojna wszystko zabrała.

Losy rodziny i Mamy podczas wojny, które będą przedmiotem dalszej części tych wspomnień, wpisują się ściśle w historię i sytuację Wilna i Wileńszczyzny w tym czasie. Kresy Wschodnie były tą częścią Polski, która doświadczyła okrucieństwa nie jednego, ale dwóch okupantów: w latach 1939-1941 znajdowały się pod okupacją radziecką (z krótkim epizodem władzy litewskiej), od 1941 do 1944 r. – pod okupacją niemiecką, a od 1945 r., po klęsce Niemiec, pod kolejną okupacją radziecką, zakończoną ekspatriacją ludności polskiej do Polski. Od początku wojny powstawały na Wileńszczyźnie podziemne organizacje niepodległościowe, scalone w Związek Walki Zbrojnej, a od 1942 r. tworzące Armię Krajową (AK). Oddziały AK prowadziły akcje bojowe i dywersyjne, których apogeum stanowiła operacja „Ostra Brama” (7-13 lipca 1944 r.), mająca na celu odbicie Wilna z rąk Niemców przed zajęciem go przez armię radziecką. Bardzo szczegółowo historię działania organizacji podziemnych i osoby, które w nich uczestniczyły opisał Longin Tomaszewski w epokowym dziele „Wileńszczyzna lat wojny i okupacji” (1999).

Wybuch wojny zburzył życie rodziny. Perspektywa zajęcia Wilna przez bolszewików po 17 września 1939 r. była groźna m.in. dla urzędników państwo-

wych, ze względu na dające się przewidzieć represje. Dlatego Tato, podobnie jak wiele innych osób (m.in. żona marszałka Piłsudskiego z córkami), zdecydowali się przed wejściem Sowietów wyjechać na Litwę. Tato po jakimś czasie wrócił do Wilna, gdzie przetrwał okupację niemiecką i kolejną sowiecką. Mama natomiast przyjęła zaproszenie znajomych rodziców, państwa Łukaszczyków, i wyjechała ze mną – miałam wtedy niecałe pięć lat – do ich posiadłości wiejskiej Karaciszki, oddalonej od Wilna o około dwadzieścia kilometrów. Sądziła, że w warunkach wojennych pobyt na wsi będzie bezpieczniejszy, rzeczywistość jednak okazała się zupełnie inna, wojna wkraczała w nasze życie w sposób zupełnie dostojny.

Dla przybliżenia sytuacji, które często miały bardzo dramatyczny przebieg, konieczny jest opis Karaciszek (Kariotiškės) – miejsca, w którym przyszło Mamie i mnie przeżyć prawie pięć lat wojennych. Właścicielem posiadłości i naszym gospodarzem był Michał Łukaszczyk, urzędnik starostwa wileńsko-trockiego, starszy pan o wyglądzie i sposobie bycia dawnego wojskowego, raczej apodyktyczny, dalej będę go nazywała Michałem.

Karaciszki były folwarkiem, na który składało się kilkanaście hektarów pól uprawnych i niewielka liczba inwentarza, którymi zajmowała się rodzina robotnika, mieszkająca w domu w tzw. części gospodarczej. Osobną część posiadłości stanowił piękny dom mieszkalny, otoczony rabatami kwiatów, krzewami owocowymi, a w dalszej części ogrodem i sadem. Część gospodarczą i mieszkalną oddzielało podwórze, przez które przechodziła szeroka droga wiodąca z pobliskiego miasteczka Landwarowa i dalej na wschód. Był to bardzo dziwny układ, którego konsekwencją było to, że w 1944 r. przez nasze podwórze przewała się armia radziecka – czołgi i piechota, ale o tym później. Na rozstajach tej drogi przy lesie, w odległości około kilometra od domu, znajdował się otoczony płotkiem wysoki krzyż drewniany, przy którym Mama w maju „odprawiała” nabożeństwo majowe. Była to zawsze litania do Matki Boskiej, *Pod Twoją obronę* i pieśń *Serdeczna Matko*. Na majowe przychodziły czasem kobiety z sąsiedniej wsi, a raz dołączył nawet mały oddział partyzantów. Okolicznością, która okazała się bardzo ważna, było to, że wzdłuż sadu, w niewielkiej

odległości od domu, przebiegał tor kolejowy prowadzący z Wilna na północny wschód, do Kowna. W czasie okupacji niemieckiej kolej ta była trasą dostaw wojskowych na front północno-wschodni.

Dom był duży, ładnie umeblowany (w naszym pokoju było nawet pianino – narzędzie tortur mojego dzieciństwa), ale jak wszystkie wiejskie domy w tamtych czasach nie miał podstawowych wygód – nie było bieżącej wody, kanalizacji ani elektryczności. Wodę przynosiło się ze studni, za toaletę służyła sławka stojąca w pewnej odległości od domu, pokoje były ogrzewane piecami opalonymi drzewem, a oświetlenie zapewniały lampy naftowe. Życie w tych warunkach nie było łatwe, dlatego żona pana Michała szybko zrezygnowała z pobytu w Karaciszkach i wróciła do Wilna, powierzając prowadzenie domu Mamie.

Najbliższymi naszymi sąsiadami byli właściciele podobnych letnich posiadłości, przedstawiciele inteligencji wileńskiej, z którymi Michała, a także Mamę i mnie łączyło wiele różnych spraw. Opiszę te najważniejsze.

W odległości około kilometra znajdował się dom pani Wimborowej, prawdopodobnie krewnej Ady Świącickiej, żony Józefa Świącickiego (brat Andrzeja Świącickiego, po wojnie działacza katolickiego, wieloletniego prezesa KIK-u). Z Józefem Świącickim Michał prowadził działalność konspiracyjną w AK. Józef został aresztowany przez NKWD i zesłany do łagru, gdzie zmarł w 1946 r. Ale zanim to się stało pani Ada mieszkała przez jakiś czas w naszym bliskim sąsiedztwie z synami Mateuszem, Piotrusiem i Jankiem oraz siostrą Ireną, później żoną Witolda Milwida. Irena była moją pierwszą nauczycielką i przez krótki czas uczyła mnie i Mateusza czytać i pisać. (Mateusz Świącicki został znanym muzykiem jazzowym i kompozytorem muzyki m.in. do utworów śpiewanych przez Czesława Niemena, zmarł bardzo młodo). Rodzina Świącickich po jakimś czasie przeniosła się do domu nad jeziorem Trockim i tam przeżyła wielką tragedię, bo mały Piotruś wypadł z kajaka, którym pływał z opiekunką, i mimo prób ratowania, utonął. Pamiętam ogromną rozpacz także w naszym domu.

Mąż Ireny, Witold Milwid, pseudonim E-5, był zamiłowanym fotografem, był parę razy w naszym domu w Karaciszkach i zrobił mi kilka zdjęć. Brał

udział w wielu akcjach dywersyjnych AK w okręgu wileńskim, a po wojnie zamieszkali z żoną w Bydgoszczy, gdzie kontynuował działalność konspiracyjną. W 1948 r. oboje zostali aresztowani, a proces „wrogów ludu”, jak była określana kierowana przez niego grupa „Cecylia”, był szeroko relacjonowany w prasie bydgoskiej. Został skazany na śmierć (wyrok wykonano), a Irena na więzienie. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości Witold Milwid został pośmiertnie odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, a Irena – w wieku dziewięćdziesięciu lat – Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. Irena zmarła w Warszawie w 2018 r.

Trochę dalej znajdowała się posiadłość Zdanowskich. Pan Zdanowski był przed wojną wysokim urzędnikiem kolei w Wilnie, a jego dom w Karaciszkach wyróżniał się tym, że miał na dachu zamontowany wiatrak. Dzięki tej, jakże nowoczesnej instalacji, w mieszkaniu był prąd elektryczny, zapewniający oświetlenie dość słabutkie, lepsze jednak niż lampa naftowa. Córka państwa Zdanowskich, Helena, była świeżo upieczoną maturzystką i przez kilka lat naszego pobytu w Karaciszkach była moją nauczycielką. Uczyla mnie polskiego – robiła to świetnie rozwijając moje zainteresowania czytelnicze – i matematyki, ale także gry na fortepianie – bez większego powodzenia. Jakie były ich dalsze losy – nie wiem.

Jeszcze dalej, za lasem, był dom Rymkiewiczów. Pan Michał miał z nimi jakieś kontakty, ale moje wspomnienia nie są przyjemne, bo kiedy przyszedłam do nich, wysłana w jakiejś sprawie, zostałam boleśnie ugryziona przez ich psa.

Wracam do Mamy, która od zimy 1939/40 r. przejęła w Karaciszkach całość gospodarstwa kobiecego. Wobec bardzo złej sytuacji żywnościowej w Wilnie, najważniejszym zadaniem było zapewnienie podstawowych produktów dla rodziny Michała i dla Taty (zachował się gdzieś jego list, w którym dziękuje Mamie za przysłane smakołyki – kaszę, wędzoną słoninę, masło i ser). Wykorzystanie możliwości, jakie dawało w Karaciszkach gospodarstwo rolne, a więc uprawa żyta, jęczmienia, ziemniaków, inwentarz – krowy, świnie i kury, ogród i sad oraz pasieka, wymagało ogromnego nakładu pracy i Mama w krótkim czasie z eleganckiej pani, prowadzącej wygodne życie w mieście,

przeobraziła się w ciężko pracującą wiejską gospodynię. Po zwolnieniu robotnika (ze względów bezpieczeństwa, bo mógł donosić) duża część pracy przy inwentarzu, jak karmienie i dojenie krów, karmienie drobiu, wykonywanych dotąd przez jego żonę, spadła na Mamę. Oprócz ogromnej pracowitości Mama wykazywała się też wielką pomysłowością i inwencją w pokonywaniu życiowych trudności.

Gospodarka była niemal całkowicie samowystarczalna, z Wilna przywoziło się tylko sól, naftę, zapalki i mydło. Nie uprawiano pszenicy więc nie było mąki pszennej i Mama piekła chleb z mąki żytniej w dużym piecu chlebowym. Było to zajęcie zajmujące cały dzień, ręczne wyrabianie dużej ilości ciasta było ciężką pracą, ale jednorazowa porcja chleba wystarczała na dłuższy czas. Herbatę Mama robiła z suszonych liści poziomek i obierzyn z jabłek, kawę z prażonego jęczmienia i specjalnie traktowanych żołądki. Nie było cukru, ale słodziło się miodem z własnej pasieki. Mleko Mama przerabiała na sery i masło.

Kury ras hodowanych w tych czasach znosiły jajka tylko na wiosnę i w lecie, więc żeby przyspieszyć wiosenną nieśność i skrócić okres braku jajek Mama zainstalowała w kuchni bardzo dużą drewnianą klatkę, do której przenosiła na zimę kilka najlepszych niosek. Kury nie zawiodły jej oczekiwań i dzięki temu, że przebywały w jasnym i ciepłym pomieszczeniu zaczynały nieść się znacznie wcześniej niż reszta kur, które zimowały w gorszych warunkach. Klatka była codziennie sprządana, a my musieliśmy się przyzwyczaić do tego towarzystwa. Na wiosnę odbywało się też wielkie przedsięwzięcie polegające na tym, że kury, które zaczęły wykazywać skłonności do posiadania potomstwa (nazywało się to „kwoktaniem”) sadzało się na jajkach, z których po trzech tygodniach wylęgały się kurczęta. Konieczna była troskliwa opieka nad wysiadującą kurą, a później nad kurczętami.

Jesienią zakiszało się kilka beczek kapusty, która była podstawową jarzyną w zimie, w lecie było dużo świeżych jarzyn z ogrodu, nawet szparagów ze szparagarni założonej jeszcze przed wojną. W lecie była też obfitość jagód i owoców – truskawek, malin, porzeczek, agrestu i jabłek. Mięso pojawiało się tylko w zimie po świniozbiciu, dużą część mięsa i słoniny wędzono, ponieważ był to jedyny możli-

wy sposób konserwacji. Żeby poprawić zaopatrzenie Mama postanowiła spróbować swych sił w hodowli indyków, które były w tym czasie ptakami rzadko hodowanymi na wsi wileńskiej. Chów indyków był przedsięwzięciem wymagającym sporej wiedzy i pracy, ale wszystko się udało i już na jesień pasłam stado okazałych ptaków, z których największe ważyły po szesnaście kilogramów!

Od początku okupacji radzieckiej Michał zaangażował się w działalność konspiracyjną Związku Walki Zbrojnej i w 1941 r. był już komendantem rejonu. Komendantem Okręgu Wileńskiego ZWZ był od 1940 r. ppłk. Nikodem Sulik. Na wiosnę 1941 r. nastąpiła seria aresztowań przez NKWD (sowiecka policja polityczna) członków ZWZ, a w kwietniu tego roku aresztowano także Sulika. Jego obowiązki przejął ppłk. Aleksander Krzyżanowski. Tu zacytuję Longina Tomaszewskiego: „Ppłk. Krzyżanowski zdecydował się teraz na opuszczenie Wilna i udał się do folwarku Karaciszki koło Landwarowa, będącego własnością Michała Łukaszczyka... Zapuścił broń i przeobraził się w białoruskiego chłopca. W dni targowe bywał w Wilnie z kobiałką jarek lub bańką mleka. Charakterystyka była tak doskonała, że nawet bliscy znajomi z trudem mogli go rozpoznać... Z Karaciszek kierował pracą organizacji”. Mianowany pośmiertnie (zmarł w 1951 r. w więzieniu w Warszawie) do stopnia generała, był dowódcą AK na Wileńszczyźnie, a prywatnie ojcem Olgi Krzyżanowskiej, pani wicemarszałek Sejmu po 1989 r. W Karaciszkach mieszkał w pokoju gościnnym naprzeciwko naszego – Mamy i mojego pokoju.

Chyba nie został u nas długo, bo życie tutaj stawało się coraz bardziej niebezpieczne. Michał zniknął czasem na kilka dni zostawiając wszystko pod opieką Mamy. Kilka razy zjawiała się lokalna władza bolszewicka i NKWD pytając o właściciela, Mama udawała wtedy zahukaną i mało rozgarniętą służącą, która nie wie gdzie jest i kiedy wróci „gospodin”, robiła to bardzo przekonująco, m.in. dlatego, że znała rosyjski. Kiedyś jednak została wezwana na przesłuchanie do NKWD do Trok, zostałam sama w domu z instrukcjami co mam robić, jeżeli nie wróci. Pojechała saniami po zamrzniętym jeziorze Trockim, na szczęście późnym wieczorem wróciła. Nigdy nie mówiła, jak było na tym przesłuchaniu.

22 czerwca 1941 r. Była

to niedziela i wybrałyśmy się z Mamą do kościoła w Landwarowie. Idąc ścieżką przy torach kolejowych spotkałyśmy kolejarzy, którzy powiedzieli nam, że właśnie Hitler zaatakował Sowiety i wojska niemieckie są już bardzo blisko Wilna. Poradzili nam, żebyśmy jak najprędzej wróciły do domu, co też zrobiłyśmy. 24 czerwca wojska niemieckie zajęły Wilno, a 26 czerwca cała Wileńszczyzna znalazła się w rękach niemieckich.

W czasie okupacji niemieckiej prześladowania dotyczyły przede wszystkim ludności miast i miasteczek, Żydów i Polaków. Cytuję L. Tomaszewskiego: „Jako miejsce masowych straceń obrali Niemcy odległe o dziesięć kilometrów od Wilna Wzgórze Ponarskie... Zwłoki zakopywano w dołach... i palono na stosach...”.

Tutaj mam bardzo ciężkie wspomnienie – otóż jadąc z Mamą do Wilna, żeby spędzić Święta Bożego Narodzenia z rodziną, przejeżdżałyśmy saniami drogą obok Ponar. Poczułam wtedy okropny swąd spalenizny i zapytałam Mamę, skąd ten przykry zapach. Mama oczywiście coś tam wymyśliła, ale wiele lat później, kiedy poznałam historię Wilna i Ponar nie miałam wątpliwości, jakie było jego źródło.

W Karaciszkach było dość spokojnie, na krócej lub dłużej przyjeżdżały często osoby, którym w Wilnie ziemia paliła się pod stopami, często byli to młodzi ludzie związani z konspiracją. Trzeba było o nich zadbać, nakarmić i wtedy bardzo przydawały się indyki. Przyjeżdżał też mój Tato, który zawsze przywoził mi dużo książek.

Tak było do momentu, kiedy w niewielkiej odległości od domu został wysadzony przez partyzantów wojskowy pociąg niemiecki. Widziałam to na własne oczy, mimo że była noc, ale biel pokrytego śniegiem ogrodu i pełnia księżyca zapewniały świetną widoczność. Widziałam jadący pociąg i lokomotywę, która w pewnym momencie uniosła się do góry – był to niesamowity widok – a dopiero w sekundę potem doszedł głos wybuchu. Wiedzieliśmy, że Niemcy w ramach represji palili w takich sytuacjach sąsiednie wsie i zabijali mieszkańców, więc mieliśmy ustalony plan ucieczki, ale na szczęście nic złego się nie wydarzyło.

Największe niebezpieczeństwo zagroziło nam w czasie, kiedy pod koniec czerwca 1944 r. do Wilna w szybkim tempie zaczął zbliżać się front sowiecko-niemiecki. Do Karaciszek przyje-

chało wtedy z Wilna parę znajomych pań z dziećmi, uważając, że na wsi będzie bezpieczniej niż w mieście, o które – jak się należało spodziewać – będą prowadzone intensywne walki. Mama bardzo przeźornie przygotowała dla wszystkich specjalne pomieszczenie, mogące nas ochronić na wypadek działań wojennych i bezpośredniego zagrożenia. Była to duża piwnica pod osobnym budynkiem, z małym okienkiem zapewniającym trochę światła i dopływ powietrza, w której Mama przygotowała posłania (sienniki ze słomy), zapas wody i jedzenia, a także wiadra do celów „toaletowych”. Ta przezorność Mamy okazała się zbawienna w sytuacji, kiedy teren Karaciszek zajął duży oddział niemiecki, który wycofując się przed armią sowiecką znalazł się w potrzasku, odcięty przez partyzantkę polską i sowiecką od reszty wojska i możliwości dalszego cofania się. Sztab tego oddziału zajął nasz dom, żołnierze biwakowali na podwórku. Nam zakazano wychodzenia z piwnicy, wyjątkiem była Mama, której udało się przekonać Niemców, że krowy muszą być karmione i dojrzone (kto mógł przypuszczać, że znajomość francuskiego Mamy może się przydać w tak niesalonowych okolicznościach!).

Prawdopodobieństwo walki nad naszymi głowami było ogromne, a ponadto Niemcy pokazując na migi, że w piwnicy są same kobiety, wskazywali w stronę lasu, sugerując, że tam w partyzantce są ich mężowie – bałyśmy się, że mogą się na nas zemścić (na szczęście tak się nie stało). Cały czas byliśmy też pod ostrzałem artylerii rosyjskiej, na szczęście niecelnym. Po kilku dniach niepewności co do naszych dalszych losów wyjrzałyśmy rano przez okienko i okazało się, że nie ma już żadnego oficera ani żołnierza niemieckiego – uciekli w nocy, próbując się przebić do reszty armii – a z lasu na drodze prowadzącej od naszego domu wynurzyły się czołgi sowieckie, a za nimi piechota. Żołnierze Armii Czerwonej byli wygłodniali, od razu wrzucili do stawu granaty i wyłowili śnięte ryby, wycieli krzaki porzeczek i zabrali je ze sobą. Ten przemarsz trwał kilka godzin i od tego czasu zaczęła się trzecia okupacja sowiecka.

Michała nie było w Karaciszkach od dawna, dom zajęli przedstawiciele miejscowej władzy sowieckiej, więc Mama zdecydowała o jak najszybszym powrocie do Wilna. Zamieszkałyśmy u siostry Mamy i stąd jesienią 1945 r. w ramach tzw. repatriacji wyjechałyśmy do Polski. Wcze-

śniejszym transportem wyjechał Tato i wszyscy, którym mogła zagrazać władza radziecka.

Tato czekał na nas w Bydgoszczy, w wygodnym mieszkaniu, przyznanym mu po wyjeździe rodziny niemieckiej. Rodzice odżyli po przejściach wojennych, Mamie udało się wrócić do przedwojennego stylu – była znów piękną, elegancką panią, prowadzącą przy pomocy gosposi, panny Julii, dom otwarty dla przyjaciół.

W okresie powojennym Mama miała dwa duże osiągnięcia, które potwierdziły jej talent organizacyjny. Pierwszym było przekształcenie małej kawiarenki, której była kierowniczką, w klubo-kawiarnię kulturalną „Jupiter”. Kawiarenka mieściła się przy ul. Jagiellońskiej (ul. Armii Czerwonej, obecnie ul. Marszałka Focha), a na spotkaniu z jej bywalcami Mamie udawało się zapraszać wiele ciekawych osób. Do zapamiętanych przeze mnie należał dyrektor Zoo w Warszawie, znakomity gawędziarz, Jan Żabiński, Roman Polański jako początkujący filmowiec – niedługo po nakręceniu filmu „Dwaj ludzie z szafą”, a nawet Krzysztof Zanussi na początku swej kariery. Dzięki jej aktywności mały klub był przez jakiś czas w Bydgoszczy interesującym miejscem spotkań z kulturą.

Drugim wielkim osiągnięciem Mamy było wybudowanie domu letniego w Srebrnicy nad Zalewem Koronowskim (zdrowie Taty było już nienajlepsze i na jego pomoc nie mogła liczyć). Skala trudności była ogromna – brak rzetelnych fachowców, brak możliwości legalnego zakupu materiałów budowlanych, brak elektryczności, wody bieżącej, no i odległość z Koronowa do Srebrnicy, którą Mama pokonywała na piechotę, drobne cztery kilometry, z czego kawał pod górę. Te wszystkie trudności udało się Mamie przezwyciężyć, został zbudowany dom, którego ogromnym walorem jest piękny widok na Zalew Koronowski.

W ostatnich latach życia Taty Mama poświęciła się całkowicie opiece nad nim i bardzo ciężko przeżyła jego śmierć. Umarła dziewięć lat później, w styczniu 1981 r., nie doczekała wolnej Polski. Po ekshumacji z Bydgoszczy oboje zostali pochowani blisko nas na cmentarzu w Jabłonnie koło Warszawy.

Wspominam Mamę jako osobę mądrą, odważną, zdolną do poświęceń i nieoszczędzającą się kiedy sytuacja tego wymagała, patriotkę bez wielkich słów, ale też piękną, kobietą i zawsze dbającą o najbliższych.

## Magiczna Estonia (2)

dokończenie z poprzedniego numeru

Zaznaczmy, że w Estonii książki są wydawane *ładnie*: estetyczne okładki, przemyślane projekty, miło się na to patrzy i z przyjemnością bierze do ręki. W szczególności dotyczy to wydań poezji, nierzadko bardzo pomysłów, przykuwających uwagę począwszy od okładki, a na łamaniu treści kończąc – uwagę nawet tych, którzy nie znają języka albo znają go słabo. Myślę, że to dlatego, że poezję w Estonii wydaje się po to, żeby trafiła do odbiorcy i sprawiła mu przyjemność, a każda księgarnia godna tego miana, włącznie z sieciówkami (których w małej Estonii jest kilka i do których atmosfery nasze *Empiki*, niestety, nie mają podejścia), rezerwuje w dobrze widocznym miejscu regał na poezję, gdzie można znaleźć nowe tomiki współczesnych autorów, antologie (w których Estończycy się lubują, zwłaszcza w nowym tysiącleciu, kiedy to wyszły m.in.: 2-tomowa złota klasyka poezji, antologia ballady, antologia sonetu miłosnego, antologia poezji patriotycznej, antologia *Ehluuule* „na każdą odsłonę życia”, antologia estońskiej poezji rybnej, antologia estońskiej poezji o lesie...), przekłady – i to nie tylko z Szekspira, Goethego czy poetów francuskich, ale też np. ze współczesnej twórczości litewskiej, łotewskiej czy fińskiej. Pięknie wydana książka z patriotyczno-refleksyjno-obyczajowo-historyczną poezją Kristiny Ehin pt. *Janu on kõikidel ükskõikse bogaconna* o fotografii i kolażu, podobnie jak zatytułowana *Janu on kõikidel kaks* kontynuacja, jakością wydania bije na głowę chyba 100% tomów wychodzących w Polsce, a znaleźć ją można nawet na półkach z książkami w marketach spożywczych. Estonia się swojej literatury (klasyki i nowoczesnej), prozy, poezji ani dramatu, bo i dramat się w Estonii stosunkowo mocno trzyma) nie wstydi, nie upycha po kątach, tylko przebojowo ją wydaje, a potem eksponuje.

Łatwo się domyślić, jaki jest minus: książki estońskie kosztują. Przeciętna cena nowej publikacji, niezależnie od gatunku, oscyluje w granicach 20-30 euro (na szczęście zdarzają się zniżki!), choć w skrajnych przypadkach cena opasłego tomu może sięgać 50€ i więcej. Niestety, wysokie są koszty druku i dystrybucji w małym kraju i stosunkowo małych nakładach (ale nie przesadzajmy: średni nakład w Estonii to ok. 750 egzemplarzy – jeszcze w początkach wieku liczba

ta sięgała tysiąca; przypomnijmy, że u nas w Polsce przy niemal trzydziestokrotnie większej populacji – i to nawet nie uwzględniając odmiennej struktury językowej obu krajów – za przywoity nakład uchodzą 2 tysiące!), a przy tym każdy (autor, wydawca, redaktor, projektant) musi zarobić – jakkolwiek nie jest to kryterium bezwarunkowe, bo na literaturę są w Estonii dotacje, a autorzy mogą się ubiegać o państwowe stypendium. Tak czy inaczej zrozumiałe jest, że jeśli już się książkę wydaje, to każdemu zależy na jak najlepszej prezentacji, a i kupujący chce poczuć, że za te grube pieniądze dostanie coś, co jest ich warte i czego posiadanie sprawi mu radość (po estońsku: *pakub rõõmu*).

Ale od czegoś są biblioteki? Bo to trzeba powiedzieć: Biblioteka Uniwersytecka w Tartu jest przewspaniała! Przystępna, otwarta, przestronna, a jednocześnie jakimś cudem przytulna; książki na półkach można przeglądać, czytać, wypożyczać w terminalach... Co jeszcze: wystawy, osobna sala muzyczna z możliwością odsłuchu nośników, wyodrębnione przestrzenie robocze, i tak dalej. Estońscy znajomi dziwią się, kiedy im opowiedzieć o ochroniarzach, kontrolach, konieczności zamawiania książek w celu przejrzenia lub wypożyczenia. Szczerze: nie wiem, jak im się to udaje bez nadużyć, ale, cóż, *działa*. Póty dzban wodę nosi... *Jumal hoidku!*

To tyle, jeśli chodzi o pierwszy dzień, może tydzień (już nie pamiętam). A dalej? Codzienność... lektorat estońskiego (we wtorek wieczorem i w czwartek z samego rana, a w środę zajęcia od ósmej do osiemnastej... najgorszym wrogom nie życzę!), łapanie każdej okazji do osvajania się z językiem (spotkanie zapoznawcze dla studentów wydziału? jasne! kawiarenki językowe? pewnie! spotkania organizacji ugrofińskich? o-czy-wiś-cie! wyjazd na weekendowe warsztaty dla magistrantów i pogaduszki z miejscowymi studentami? dodatkowy lektorat na uniwersytecie? *loomulikult!*).

Pod koniec października przyszły mrozy (do dziś pamiętam, jak mnie przewiało na wycieczce do urokliwego miasteczka Viljandi, znanego kiedyś \*stuk, stuk, klik\* jako Felin, w którym wszędzie się walają betonowe truskawki, mieszczą ruiny zamku i gdzie funkcjonuje Akademia Kultury – kolegium Uniwersytetu w Tartu kształcące m.in. w zakresie sztuki tradycyjnej i rękodzielnictwa), w listopadzie spadł śnieg. Jak już



Na zdjęciu: Studenci przed uniwersyteciem w Tartu.  
Fot. Henryk Tokarz

spadł, to trzymał do... marca? A jeszcze w kwietniu zdarzyło mu się wrócić. Podobno była to zima wyjątkowo długa, nawet jak na Estonię. Cóż; śnieg, noc zaczynająca się o trzeciej po południu i trwająca do 9 rano w dniu następnym, lampy, festyn adwentowy, karylion, lodowisko na tartuskim rynku – to wszystko tworzy istic bajkowy klimat. Nie mniej cudośnie jest późną wiosną, gdy po jedenastej wieczorem jest jeszcze jasno, a już w okolicach czwartej zaczyna świtać...

Z czasem liczba nowinek malała – znane prawo przyrody. Na miejsce oswojenia przyszło przyswojenie: miasto już nie mówiło w sposób zrozumiały dla mnie, ono mówiło *do mnie*. No, powiedzą mi, przesadzam. Może i przesadzam. Nie da się jednak ukryć, a wie o tym pewnie każdy, kto za granicą mieszkał choć przez chwilę i w tym okresie dopiero stopniowo się z obcą przestrzenią językową oswajał, że stosunek do otoczenia, do napisów, słyszanych głosów, komunikatów i plotek – na przestrzeni miesięcy ulega zauważalnym a zadziwiającym zmianom. Tak i w

tym przypadku. Zdumiewające, że z czasem nawet rosyjski zaczął w Estonii brzmieć bardziej... swojsko. Cóż, słowiańsko bądź co bądź. Z drugiej strony, trudno opisać tę radość, z jaką wracając do Tartu, słyszę estoński, chyba dlatego, że tyle pracy poszło w naukę. Ot, trawka zielona i zieleńska.

Wprowadzie głównym moim zainteresowaniem były języki ugrofińskie jako rodzina, jako ogół i jako te drobne społeczności zdane na siebie pod rosyjskim zaborem, którym Estonia pomaga jak może, jednak nie mogłem nie zechcieć, skoro już się tu znalazłem, poznać również miejscowej kultury i języka, i literatury. W końcu to w literaturze najpełniej się piękno różnorodności językowej

objawia, i największej przyjemności dostarcza to wrażenie – odszyfrowania, podśledzenia komunikatu, który nie był przeznaczony dla nas (chyba dlatego uważam za jakościowo inną rzecz literaturę w języku angielskim i z niegoż przekładaną, produkowaną z myślą o globalnym, a już co najmniej: uśrednionym odbiorcy o orientacji okcydentalnej). Estończycy bardzo sprytnie to sobie zresztą urządzili: najpopularniejszej serii podręczników do estońskiego towarzyszy chrestomatia (a tę można wypożyczyć w bibliotece), która z jednej strony oswaja uczą-

cego się z estońszczyzną literacką, z drugiej – zaprasza go do świata literatury estońskiej. Również na lektoratach zachęcano nas (przeznacznie: wymogiem na prezentację lub egzamin ustny) do sięgnięcia po estońską prasę i literaturę. A jak już raz się wpadnie, trudno wybrnąć...

Przykładem ugrofińskiego sentymentu w Estonii mogą być wydarzenia organizowane w październiku – „miesiącu ugrofińskim”, jak choćby poświęcone jubileuszowi udmurkiej pieśniarki Dzaky Apaj spotkanie w Estońskim Muzeum Literatury (*Eesti Kirjandusmuuseum*, EKM), z koncertem, filmem i rozmową; czy też występy wykonującego piosenki w językach ugrofińskich zespołu folkowego *Kännu Peal Käbi*, który w 2024 roku odwiedził też Polskę (nazwa, „na pniu szyszka”, nawiązuje do estońskiego powiedzenia *käbi ei kukku kännust kaugele*, czyli „szyszka nie pada daleko od pnia”; jego sens i polski analog Cytelnik z łatwością odgadnie). Kolejny przykład: organizowane przez EKM „kawiarenki literackie” poświęcone poezji narodów ugrofińskich. To właśnie

dzięki tym spotkaniom, gdzie gości zachęcano do tłumaczenia omawianych wierszy na swoje języki, doszedłem ostatecznie do wniosku, że przekładanie sprawia mi frajdę (tym bardziej, że wreszcie była jakaś okazja do przekucia nabywanej od lat umiejętności *czytania* w coś twórczego). Tamte teksty były oczywiście strasznie amatorskie, wymęczone, obiektywnie może nawet brzydkie, choćby i starannie i po stokroć poprawiane, od czegoś jednak trzeba zacząć... Szczerze, to jeszcze teraz mam nierzadko problem z patrzaniem na swoje przekłady, które kwartał wcześniej wydawały się sensowne – znak postępu?

Oczywiście, kiedy mowa o przekładaniu, rychło trafiamy na następną ścianę: dla kogo to, jak dotrzeć z tekstami do publiczności? Kto zechce opublikować wiersz tłumaczony z języka, o którego istnieniu nikt nie słyszał; i kto taki utwór zechce przeczytać? Jak powiedzieć: *Karelowie, Mokszanie, Komiaci żyją!*, jak przedostać się z komunikatem, że Europa nie kończy się na Dnieprze, i że tam, w Europie prawdziwie Wschodniej, też żyją i tworzą ludzie szukający swojej ścieżki w obcym, wrogim świecie? Ale to już osobna kwestia... Tak czy inaczej, temat narodów na Wschodzie należałoby w Polsce poruszyć, poruszać i drażyć, bo na tym polu mamy wiele do nadrobienia, jak też mnóstwo niewykorzystanego potencjału – dlaczego Austriacy, Niemcy, mogą mieć całe ośrodki ugrofińskie i językoznawcze, a u nas biała plama? Dlaczego Ukraińcy i Estończycy mogą przyjmować dysydentów, prowadzić rozmowy – a my nie? Czyż nie jest w naszym interesie, czy nie jest moralnym obowiązkiem wspieranie tych, którzy się bronią przed rusyfikacją? Czy naprawdę stać nas – jako kraj, jako naród – tylko na reagowanie, kiedy gdzieś się zaczyna palić, czy nigdy nie możemy być o krok, o dwa kroki przed wydarzeniami? Jak mamy być centrum czegokolwiek, jeżeli to na nas kończy się cywilizacja?

Na poloniana natknąłem się, oczywiście. Wspólny kurs estońszczyzny z nowym lektorem języka polskiego w Tartu. Na półkach bibliotek oraz księgarni przekładły tworzone i wydawane przez Hendrika Lindepuu – twórczość Herberta, Miłosza, Tokarczuk, a nawet Dołęgi-Mostowicza; *Solaris* i *Wiedźmin* w przekładzie Aarnego Puu... jak również *365 dni*, ale o tym ćśś (w przekładzie jakiejś innej osoby, co to zupełnie nie kojarzę). W drugim nałożniku: wybitny poeta estoński Jaan Kaplinski (1941–2021), syn Jerzego Kaplińskiego, wykładowcy języka i kultury polskiej na Uniwersytecie w Tartu, człowieka o wielkich zasługach dla popularyzacji kultury polskiej

w międzywojennej Estonii, który, aresztowany przez NKWD latem 1941 roku, nigdy już do rodziny nie powrócił. Miejskowa parafia katolicka również „naszymi” (ale i *rosyjskojęzycznymi*) stoi, choć obecnie urzędujący księży pochodzą z Ameryki Południowej (proboszcz ma ponoć z jednej strony estońskie korzenie). Kto chadza do kościoła – a droga wiedzie przez nader malowniczą dzielnicę Supilinn, po naszymu: „Zupowo” – prędzej czy później zacznie kojarzyć co aktywniejsze postaci z miejscowej Polonii. Polaków spotkałem również w EKM. Cóż, najwyraźniej w małym kraju jak Estonia, z tak silnym ośrodkiem akademicko-kulturowym jak Tartu, łatwo zawiązują się

schludnie, nowoczesnie, akademik w ludzkiej odległości 10 min piechotą od wydziału, wszystkie zajęcia w jednym budynku, kameralnie, po ludzku, duży nacisk na wdrażanie studentów w system akademicki jako potencjalnych przyszłych kolegów po fachu – jest poczucie, że magistrantów kształci się nie tyle na ludzi z dyplomem, co na przyszłych doktorantów i badaczy, podczas gdy u nas inicjatywa w tym zakresie wydaje się leżeć całkowicie po stronie studenta; trzeba mieć jednak na względzie: skoro taki kierunek otwarto, to przecież nie tylko po to, żeby rozdzierać dyplomy. Moich pochwał nie wolno więc naiwnie uogólniać: widziałem mały tylko wycinek i nie wiem, jak różni

noszą różne nazwy w piśmie, to trzeba mieć na uwadze, że Estończycy ‘g’ wymawiają półdźwięcznie lub bezdźwięcznie, bardziej jak nasze ‘k’). Autokary z Estonii do Polski operują wyłącznie na trasie Tallinn-Parnawa-Ryga-Wilno-Kowno-Warszawa, co przy jeździe z Tartu oznacza konieczność jedno- lub dwukrotnej przesiadki (a więc dodatkowy narzut czasowy) – zwykle lepiej się opłaca jechać do Warszawy z przesiadką w Tallinnie, niż zaczynać od przeprawy z Tartu do Rygi. Niepomijalny zygzak Ryga-Wilno-Kowno-Suwałki sam w sobie też nieszczególnie korzystny czasowo... ale taka już nasza regionalna geografia.

W tym miejscu chyba kończą mi się rzeczy warte wzmianki.

Z wartych odwiedzenia punktów w Tartu wypadałoby wspomnieć może jeszcze Ogród Botaniczny – instytucję i park w jednym, znakomite miejsce na spędzenie wolnej chwili (jeśli akurat z jakiegoś powodu znudziło nam się Toomemägi). Osobnego artykułu wymagałoby zapewne Tallinn, z tym jednak miastem nie miałem wiele wspólnego (2,5-godzinna droga z Tartu i bilet w cenie 12-15 euro zniechęca do częstych odwiedzin), więc na ten temat nie będę się tu rozpisywał. O starówce pewnie każdy słyszał, że ładna, i z tym się zgodzę, ale poza tym miasto robi wrażenie typowego rozlazłego stołecznego molocha.

Słowem podsumowania: Estonia to piękny kraj (nie bez wad, ale obcemu łatwo uszy zamknąć i od spraw niewygodnych odwrócić głowę), estoński to piękny język (każdy język jest piękny, ale do estońskiego mam stosunek szczególny), świetna jest też estońska literatura (czego próbki staram się – jak potrafię, jak mogę – dawać w przekładach, choć prezentowana na łamach *Świata Inflant* klasyka poezji to zaledwie czubek góry lodowej). Mam nadzieję, że okazji do pokazywania (nie, nie pokazywania, literatura na pokaz ma tyle sensu, co samochód na pokaz; lepiej: przekazywania) poezji, literatury estońskiej, ale i szerzej: ugrofińskiej, wschodnioeuropejskiej, ogólniej: mało znanej – będzie mi z czasem przybywać, podobnie jak umiejętności: wiadomo, że panowanie nad językiem docelowym jest (nie licząc oporu wydawców, ale to kwestia osobna) największą trudnością przy przekładaniu...

W międzyczasie chciałbym zaś gorąco polecić Estonię, poznanie Estonii, Czytelnikom – nie tylko dla wspólnych elementy przeszłości, ale zwłaszcza przez wzgląd na teraźniejszość i przyszłość, które są i będą naszym wspólnym udziałem w tym zakątku świata. A także dlatego, że warto – po prostu!



Na zdjęciu: Rowery przed darpackim uniwersytem.  
Fot. Stefan Pastuszewski

sieci znajomości. Osoby o podobnych zainteresowaniach spotykają się w określonych miejscach, przy określonych okazjach, potem przez wspólnych znajomych, i tak się to kręci.

Pan Redaktor zapytywał mnie o korporacje: tutaj niestety nie mogę wiele powiedzieć, ponieważ z poczuciem własnej obcości i świadomością, że studiować będę tylko dwa lata, nie zgłębiałem tematu. Nie potrafiłem sobie wyobrazić (nie przeczę, że czasem małą mam wyobraźnię!), jak mógłbym na członkostwie w podobnej organizacji korzystać, i co sam mógłbym jej zaferować, nie opanowawszy wprawdzie biegle języka (rozmówki rozmówkami, ale biznes biznesem), nie byłem zresztą pewien, czy nie-Estończycy w ogóle są do takich rzeczy dopuszczani. Duże zbiorowości, bogaty ceremoniał i elitaryzm też mnie z reguły odrzucają. Czapeczki podczas uroczystości akademickich widuje się licznie, jedną zauważyłem u znajomej Węgierki – znaczy, że z tymi obcokrajowcami pewnie źle mi się wydawało. Podobno na Noc Walpurgi (*Volbriöö*, przed 1 maja) Vironia zaprosiła do Tartu „naszych” Arkonów, więcej mi nie wiadomo.

Uniwersytet będę chwalił:

się moje doświadczenie od tego, co przeżywają studenci innych kierunków, innych wydziałów, studenci z Estonii, uczący się tu przez 5 lat i dłużej. Wiem tyle: ja się w Tartu czułem komfortowo, i to zarówno dzięki atmosferze na uczelni, jak i tej poza nią.

Największą wadą miasteczka, która może być zresztą, zależnie od punktu widzenia, uznana za jego zaletę, jest jego umiejscowienie jak gdyby na uboczu Europy: loty z położonego o 3 godziny Tallinna kosztują (jakkolwiek lotnisko zlokalizowano tak, że mucha nie siada – na trasie dojazdowej do miasta, w rozsądnej odległości od centrum); natomiast Ryga, skąd do wielu miejsc latają ryanairy, jest położona dalej i jeszcze do niedawna dało się tam pojechać bez przesiadki tylko raz-dwa razy na dobę autokarem (z dojazdem do lotniska droga wydłuża się o trzy kwadransy do ok. 4,5-5 godz; cena ok. 25 euro), i to o niedogodnych porach. Pociągi w stronę Rygi odjeżdżają z Tartu raz dziennie, na szczęście w ostatnich latach stworzono połączenie z prawdziwego zdarzenia, eliminujące tragiczną (bo absolutnie niesynchronizowaną) przesiadkę w granicznej Valce (est. Valga, lot. Valka, dla zatwardziały: Walk; chociaż estońska i łotewska część

## Nowomuczenik (2)

ciąg dalszy z poprzedniego numeru

W Cesarstwie Rosyjskim, uchodzącym w przeciwieństwie do Wielkiej Brytanii za kraj bez kary śmierci, w latach 1861-64 zgładzono sądownie ok. 1500 osób, większość stanowili polscy powstańcy. Ukazem z 8/20.07.1868 zakazano Polakom przesiedlania się do 9 zachodnich guberni, zaś Polacy-mężczyźni w wieku 14-20 lat nie mogli się w ogóle osiedlać w Rosji i nabywać dóbr. Omijanie tego typu restrykcji i napływ Rosjan do b. Królestwa Polskiego, Litwy i Łotwy, gdzie było lepiej niż w głębi Rosji, stało o podstaw „imperium korupcji”.

Przypomnieć warto, że to już w II poł. XVII w. rzymskokatolicki członek Papieskiej Kongregacji Krzewienia Wiary chorwacki ks. Juraj Križanić, jako pierwszy stworzył doktrynę państwa narodowego na użytek Moskwy. Broniąc samoistnego historycznego znaczenia Słowian, dążąc „do likwidacji wschodniej schizmy (...) był pierwszym ideologiem zjednoczenia Słowian pod duchowym przewodnictwem papieża rzymskiego”. Kontekstem było wyzwolenie bałkańskich Słowian spod niewoli osmańskiej oraz przerwanie ksenomanii Moskwan czyli „naino-poddańczego stosunku do obcych, szczególnie Niemców, prowadzącego do strat ekonomicznych i politycznych”.

Według ks. Križanića „wśród Słowian w owym poddaństwie przoduje Polska” i najbardziej upośledzonym państwem w wyniku cudzołóstwa jest także Polska; także inne „kraje słowiańskie kupczące królestwami przez kojarzenie małżeństw”. Niechęć Cerkwi moskiewskiej do Rzymu uważał (wówczas!) za możliwą do przezwyciężenia, byle „podkreślić moskiewską rację stanu”. Chodziło w praktyce o włączenie do Kościoła łacińskiego „unikiej Moskwy” i wykorzystanie żądzy moskiewskich władców do „zarządzania Kościołem” (obojętnie jakiego wyznania i obrządku - GJP) na wzór niemieckich „landów protestanckich”. Tradycji bizantyjskiej, ale też i „mesjanizmu eschatologicznego Moskwy III Rzymu” ten Chorwat nie uznawał.

Mając jednak na uwadze ideę niezależności Kościoła od państwa, której prekursorem na przełomie wieków XV i XVI był mnich *niestiażatiel* Nil Sorski, wróćmy do wieku XIX.

### Zwycięstwo pruskiej polityki

Już na początku 1863 r. pruski premier wysłał do Petersburga gen. Augusta von Alvenslebena, który 8 lutego wynegocjował tajną umowę prusko-rosyjską. Oba państwa zobowiązały się w niej do wzajemnej pomocy w dławieniu polskiego powstania (i wszelkich spisków). Realizując ten cel przyznano rosyjskim oddziałom prawo wkraczania na ziemię pruskie.

*Ex post* Bismarck określił konwencję jako „wywalczone w gabinecie rosyjskiego cara zwycięstwo polityki pruskiej nad polską, którą reprezentowali Gorczakow, wielki książę Konstanty, Wielopolski i inne wpływowe osobistości (...). Umowa natury polityczno-wojskowej, którą Rosja zawarła z gemańskim wrogiem panslawizmu przeciwko bratniemu plemieniu polskiemu – konkluduje Zernack – była rozstrzygającym ciosem godzącym w nadzieje polonofilskiego stronnictwa na rosyjskim dworze”.

Mam przed sobą kultową książkę „niemieckiego spojrzenia na narody słowiańskie” G. Freytaga „Soll und Haben” (wyd. 1854), która doczekała się 40 wydań do 1900 r., zaś w zjednoczonych po 1900 r. Niemczech – było tych wydań co najmniej 19. (To chyba o czymś świadczy!) W liście do Maxa Dunckera cytowany pruski ideolog przyznaje, że powstanie styczniowe stanowiło bardziej udaną próbę polskiego ruchu niepodległościowego i było niebezpiecznym przejawem wykorzystania ustępstw Petersburga, a w zasadzie dotrzymania zobowiązań Rosji wobec Królestwa Polskiego po 1815 r. Przekreślając nawet myśl o istnieniu takiego „organizmu”, pruscy ideolodzy uważają, że „rewolucyjne” ruchy polskie „stanowią swoistą mowę nienawiści” (skąd my to znamy?), a sam Bismarck stwierdza: „Czasy reorganizacji w polskim duchu minęły i po rozwoju, jaki się tutaj, na niegdysiejszych ziemiach polskich, dokonał i

wobec jednolitych warunków ustrojowych państwa pruskiego – nie mogą powrócić. Prusy muszą na zawsze pozostać naturalnym przeciwnikiem autonomicznego i narodowego rozwoju Królestwa Polskiego”. Freytag od siebie dodaje: „Bo z Polakami należy szybko skończyć. Hańba tej długotrwałej słabości staje się zbyt wysoka, a ponieważ rząd [pruski] daje dowody swojej bezsilności, postaramy się załatwić sprawę prywatnie”.

W kompendium Hedwig Fleischhacker wyżej cytowane założenia antypolskiej ideologii pangermańskiej, są przywoływane i uzasadniane [w:] „Rosyjskie odpowiedzi na kwestię polską 1795-1917”/ Russische Antworten auf die polnische Frage 1795-1917”).

### Pruska szczujnia

W tę narrację daje się wmontować Michał Katkow, zaś wpływowy publicysta rosyjski Jerzy Samarin jesienią 1863 r. rzuca kłatwę: „Polacy jako naród, jako szczególny element w grupie plemion słowiańskich; cała polityka Polaków polega na ich utożsamianiu, nasza – na rozdzielaniu. Nasz cel może polegać tylko na tym, by uczynić Polskę nieszkodliwą dla Rosji; przede wszystkim trzeba zdusić powstanie w Królestwie...” Liberala Sergiusz Sołowiow w „Dziejach upadku Polski” interpretował rozbiory jako „sprawiedliwą karę historii za zdradę sprawy słowiańskiej” (1863).

Pruscy dyplomaci cieszyli się, że w Tylży w 1807 r. „Aleksander I uratował Prusy”, widząc w Prusach „potrzebne i dynamiczne ogniwo przymierza trzech czarnych orłów” i rozmiękczenia żywiołu polskiego po myśli Napoleona Bonaparte (nadanie Konstytucji Księstwa Warszawskiego i mamienie „świadomych Polaków” ułudą udziału w wielkich dziełach ratowania łacińskiej tożsamości Europy). Bismarck, a za nim cała pruska szkoła, twierdził – powołując się na rozstrzygnięcia Statutu Organicznego z 1832 r. – że trzeba ogłosić polski latynizm „jako element kultury uderzający ostrzem w samo serce świata słowiańskiego”, „co na pewno zawsze

rozściecieży żywioł panrosyjski i wbije klin między polskich i rosyjskich słowianofilów, a wtedy nie będzie stanowić zagrożenia połączenie żywiołu polskiego i panrosyjskiego przeciwko idei pruskiej i pangermańskiej”.

Kolejne wypowiedzi dyplomatów i polityków reprezentujących rosyjskie ośrodki decyzyjne mówią niestety, że przez półtora wieku była to stosowana przez nich dewiza.

Do dzisiaj część niemieckich podręczników do historii i ...religii używa wobec obszarów polskich, zamiast nazw „pogranicze” czy nawet „kresy wschodnie” sformułowań: „marchia wschodnia”, „misja prusko-germańska”, „średniowieczny okręg wojskowy na rubieżach cesarstwa”.

### Po co powstania?

Do czego więc było potrzebne powstanie?

–Żeby każdy się określił, kim tak naprawdę jest i po czyjej stronie stoi, a po cichu nie udawał kogoś innego.

–Żeby zapobiec dalszemu „wyluskiwaniu” przez wrogów (Prusy, Rosję, częściowo Austrię) wartościowych obywateli, którzy jeszcze się nie zapredali i nie zdeprawowali: przerażać werbunek, skryty i przymusowy, do armii, innych służb mundurowych i struktur administracji wrogich państw, akceptowany przez polskojęzyczne elity rządzące.

–Skończyć z rządami zdegenerowanych elit: czytelnym było mieć jawnie obce, niż polskich mianowców zagranicznej władzy, którzy udawali niemoc i niemożność, maskując swoją głupotę lub ubezwłasnowolnienie. Dlatego marszałek Józef Piłsudski apelował: „W czasach pokoju strzeżcie się agentów!”

–Doświadczyć umiejętności samoorganizowania się i kreowania nowych przywódców wobec nadchodzącej niewoli i wybijania się na niepodległość. Żeby doprowadzić do całkowitej kompromitacji ludzi o podwójnym obliczu i wyznawców prywaty.

–Otworzyć oczy i dodać ducha tym, którzy jeszcze nie rozumieli i nie dostrzegli, co tak naprawdę stało się i co grozi Rzeczypospolitej.

cdn.